



BYŁA
SOBIE
RZEKA

DIANE
SETTERFIELD

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ONCE UPON A RIVER

Copyright © Third Draft Limited 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Ilustracja na okładce: mamita/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Zaczyna się opowieść...

Była sobie gospoda, stojąca spokojnie na brzegu Tamizy w Radcot, długi dzień marszu od źródła. W czasach, kiedy toczy się ta opowieść, wzdłuż górnego biegu rzeki stało wiele gospód, w każdej można się było spić, lecz poza powszechnie podawanym piwem i cydrem każda oferowała własną, wyjątkową atrakcję. Pod Czerwonym Lwem w Kelmscott była nią muzyka: barkarze wieczorami grali na skrzypcach, a serowarzy wyśpiewywali smętne pieśni o utraconej miłości. Inglesham miało Zielonego Smoka – przepojony dymem tytoniowym raj dla kontemplacji. Pod Jelenia w Eaton Hastings ściągali z okolicy wszyscy hazardziści, amatorzy bitek zaś nie znaleźliby dla siebie lepszego miejsca niż Pod Pługiem na obrzeżach Buscot. Pod Łabędziem również miało swoją specjalność – ludzie przychodzili tu, aby słuchać opowieści.

Gospoda w Radcot stała nad brzegiem Tamizy od bardzo dawna, może najdłużej ze wszystkich okolicznych karczm, oberży i zajazdów. Składała się z trzech części: starej, starszej i najstarszej. Trzy segmenty łączyły się w harmonijną całość za sprawą strzechy, która pokrywała budynek, mchu porastającego prastare kamienie oraz bluszczu oplatającego jej mury. Latem ludzie z okolicznych miast zjeżdżali się tu nowo wybudowaną koleją, aby choć przez jeden dzień popływać wynajętą barką albo łodzią wiosłową i spędzić popołudnie na pikniku przy butelce piwa, lecz zimą klientela gospody składa-

ła się wyłącznie z miejscowych, którzy zbierali się w zimowej izbie. Było to dość surowe wnętrze w najstarszej części budynku, z jednym oknem, które wyglądało na świat przez grube kamienne mury. W dzień widać było z niego most i rzekę przepływającą pod trzema urokliwymi przeszłami. W nocy zaś (a opowieść ta zaczyna się nocą) most tonął w ciemności i dopiero kiedy uszy wyłowiły z mroku odgłos przelewających się mas wody, można było odgadnąć obecność przestworu płynnej czerni, która falowała za oknem, podświetlona ponuro jakąś niepojętą własną energią.

Nikt tak naprawdę nie wie, w jakich okolicznościach zrodziła się Pod Łabędziem gawędziarska tradycja. Mogła mieć związek z bitwą o most w Radcot, która rozegrała się pięćset lat przed nocą, gdy rozpoczyna się ta opowieść. W 1387 roku przy moście spotkały się dwie wielkie armie. Za długo by opowiadać, kto i dlaczego brał w niej udział, ważne jest to, że w bitwie zginęło trzech mężczyzn – rycerz, giermek oraz chłopiec – a osiemset dusz utonęło w bagnach, próbując ucieczki. Właśnie tak. Osiemset dusz. To nie było jaka historia. Ich kości spoczywają pod wodą, gdzie znajdują się teraz pola rukwi wodnej. W okolicach Radcot ludzie uprawiają rukiew, zbierają ją, pakują potem do skrzyń i wysyłają barkami do miast, lecz sami jej nie jedzą. Narzekają, że jest gorzka, tak gorzka, że gryzie człowieka w język, a poza tym – kto by chciał jeść liście nawożone przez duchy? Kiedy taka bitwa rozgrywa się na twoim progu, a trupy zabitych zatruwają ci wodę, to naturalne jest, że chcesz o tym opowiadać. I możesz to robić w nieskończoność. A powtarzając swą opowieść, stajesz się coraz lepszym gawędziarzem. Kiedy pamiętne wydarzenia pomalu odchodzą w przeszłość, a ty przenosisz uwagę w innym kierunku, zaczynasz wykorzystywać swą nowo zdobytą umiejętność na inne opowieści, i nie ma w tym nic dziwnego.

Właścicielką gospody w Radcot była Margot Ockwell. Jak sięgnąć pamięcią, Pod Łabędziem zawsze rządziła jakaś pani Ockwell, całkiem możliwe, że od pierwszego dnia, gdy otwarto podwoje karczmy. Urzędowo nazywała się Margot Bliss, była bowiem za-

mężna, lecz formalności są dobre dla małych i dużych miast, tutaj, Pod Łabędziem, Margot pozostała Ockwell. Była postawną kobietą podchodzącą pod sześćdziesiątkę. Potrafiła przenosić beczki bez niczyjej pomocy i nigdy nie musiała przysiąść dla odpoczynku. Krążyły pogłoski, że nawet spała na stojąco, urodziła jednak trzynastoro dzieci, więc z oczywistych powodów musiała się czasem kłaść. Była córką poprzedniej właścicielki gospody, którą przedtem prowadziła jej babka, a wcześniej prababka, i nikogo nie dziwiło, że Pod Łabędziem w Radcot zawsze prowadzi kobiety. Tak po prostu było i już.

Mąż Margot, Joe Bliss, pochodził z Kemble, leżącego dwadzieścia pięć mil w górę rzeki, rzut kamieniem od miejsca, gdzie Tamiza wypływa z ziemi wąskim strumyczkiem, który bardziej wygląda na płacheć podmokłej gleby niż rzekę. Blissowie zawsze mieli słabe płuca. Rodzili się mali i chorowici i większość umierała, zanim zdążyła osiągnąć wiek dojrzały. Im bardziej dzieci Blissów rosły, tym bardziej chudły i bladły, aż w końcu gasły zupełnie, zwykle przed dziesiątym rokiem życia, a często jako dwulatki. Ci, którym udało się przeżyć, w tym również Joe, wyrastali na niższych i słabszych niż większość ludzi. Zimą rzeziło im w piersiach, ciekło z nosa, a oczy łzawiły. Byli bardzo mili, mieli łagodne oczy i chętnie się uśmiechali, czasem nawet figlarnie.

W wieku osiemnastu lat osierocony i niezdatny do pracy fizycznej Joe opuścił Kemble i wyruszył w świat, aby szukać szczęścia, choć sam nie wiedział, co właściwie mógłby robić. Z Kemble można wyruszyć w dowolnym kierunku, jak z każdego innego miejsca na świecie, lecz rzeka ma siłę przyciągania. Trzeba by być upartym i zatwardziałym, aby za nią nie podążyć.

I tak Joe przybył do Radcot, a ponieważ był spragniony, wszedł do gospody, żeby zwilżyć gardło. Niepozorny młodzieniec o czarnych, strączkowatych włosach, kontrastujących z bladą cerą, siedział niezauważony, popijając piwo, podziwiając córkę karczmarki i słuchając opowieści. Poczł się dziwnie urzeczony wśród ludzi opowiadających na głos rzeczy, które od dzieciństwa wypełniały mu głowę.

Kiedy zapadła cisza w przerwie między jedną a drugą opowieścią, Joe otworzył usta i wyszło z nich... „Dawno, dawno temu...”.

Tego dnia Joe Bliss odkrył swoje przeznaczenie. Tamiza przywiodła go do Radcot i tu osiadł na dobre. Gdy nabrał odrobinę praktyki, przekonał się, że potrafi obrócić słowa w dowolną opowieść, plotkę, historię, legendę, przypowieść albo bajkę. Jego ekspresywna twarz potrafiła wyrażać zaskoczenie, trwogę, ulgę czy powątpiewanie równie doskonale co prawdziwi aktorzy. A jego brwi... wspaniałe, czarne brwi przemawiały tak samo wymownie jak słowa. Ściągały się, kiedy zbliżał się przełomowy moment opowieści, drgały, gdy jakiś szczegół wymagał uwagi, i wyginały się w łuk, kiedy bohater mógł być kimś innym, niż się zdawało. Obserwując jego brwi, bacznie śledząc ich skomplikowany taniec, można było zauważyć drobiazgi, które w innym wypadku uszłyby uwagi. W ciągu kilku tygodni Joe całkowicie zuroczył swoich słuchaczy Pod Łabędziem. Zuroczył również Margot, a ona jego.

Pod koniec miesiąca Joe udał się na piechotę do miejsca oddalonego sześćdziesiąt mil od rzeki, aby wziąć udział w konkursie. Oczywiście zwyciężył, a za zdobytą nagrodę kupił pierścionek. Wrócił do Radcot szary jak popiół ze zmęczenia, padł na łóżko i nie podniósł się przez tydzień, a kiedy w końcu wstał, uklęknął i poprosił Margot o rękę.

– No, nie wiem... – powiedziała jej matka. – Czy on potrafi pracować? Czy potrafi zarobić na życie? Jak zatroszczy się o rodzinę?

– Przyjrzyj się dobrze, mateczko – zwróciła jej uwagę Margot. – Nie zauważyłaś, jaki ruch zrobił się w gospodzie, od kiedy Joe zaczął opowiadać swoje historie? Pomyśl, co będzie, jeśli za niego nie wyjdę! Może sobie pójść gdzie indziej i co wtedy?

I była to prawda. Ludzie częściej ostatnio zaglądali Pod Łabędzia, przyjeżdżali z daleka i zostawali dłużej, aby słuchać opowieści Joego. A słuchając, każdy kupował coś do picia. Interes kwitł.

– Pomyśl o tych wszystkich przystojnych, krzepkich młodzieńcach, którzy tu przychodzą i nie odrywają od ciebie oczu. Czy któryś

z nich nie nadałby się lepiej?

– Ja chcę Joego – orzekła twardo Margot. – Lubię jego gawędy. I postawiła na swoim.

Działo się to czterdzieści lat przed wydarzeniami opowiedzianymi w tej historii. W tym czasie Margot i Joe założyli rodzinę i dochowali się wielu dzieci. W ciągu dwudziestu lat spłodzili dwanaście krzepkich córek. Wszystkie odziedziczyły po matce gęste ciemne włosy oraz mocne, niezmordowane nogi i wyrosły na dorodne młode kobiety o beztróskich uśmiechach i wesołych usposobieniach. I wszystkie wyszły za mąż. Jedna była grubsza, druga szczuplejsza; jedna nieco wyższa, druga ciut niższa; jedna smaglejsza, druga bledsza, lecz pod każdym innym względem były tak bardzo do siebie podobne, że klienci gospody nie umieli ich rozróżnić. Kiedy dziewczęta przychodziły pomagać w okresach wzmożonego ruchu, mówiono na nie po prostu Mała Margot. Po urodzeniu tych wszystkich córek w życiu rodzicielskim Margot i Joego nastąpiła przerwa i oboje już sądzili, że jej płodne lata dobiegły końca, lecz wtedy Margot znów zaszła w ciążę i na świat przyszedł ich jedyny syn, Jonathan.

Z krótką szyją, pyzatką buzią, migdałowymi, nieco skośnymi oczami, malutkimi uszkami i noskiem oraz językiem, który zdawał się nie mieścić w wiecznie uśmiechniętych ustach, Jonathan nie przypominał innych dzieci. W miarę jak dorastał, stawało się jasne, że różni się od nich nie tylko wyglądem. Skończył już piętnaście lat, lecz w przeciwieństwie do większości chłopców, którzy niecierpliwie wyglądali męskiej dojrzałości, Jonathan zadowalał się myślą, że będzie wiecznie żył w gospodzie razem z rodzicami, i niczego innego nie pragnął.

Margot nadal była przystojną i silną kobietą, lecz włosy Joego posiwiały i tylko brwi pozostały tak samo czarne jak niegdyś. Dobiegał sześćdziesiątki, co jak na Blissów uznać należało za wiek nieomal starożytny. Ludzie przypisywali jego długowieczność nieskończonej trosce Margot. Przez ostatnie lata bywał tak słaby, że po dwa albo i trzy dni leżał w łóżku z zamkniętymi oczami. Lecz wcale nie spał,

o nie, odwiedzał wówczas miejsca istniejące poza snem. Margot ze spokojem przyjmowała te okresy, kiedy zanurzał się i tonął w swoim świecie. Rozpalała ogień, aby pozbyć się wilgoci z powietrza, wlewała między wargi męża schłodzony rosół, czesała mu szczotką włosy i wygładzała brwi. Niektórzy ludzie gorączkowali się, widząc go tak niebezpiecznie zawieszzonego na krawędzi między jednym wilgotnym oddechem a następnym, lecz Margot przyjmowała to ze spokojem.

– Nie martwcie się, nic mu nie będzie – przekonywała.

Miała rację. Joe był Blissem i tyle. Rzeka wsiąkała w jego ciało, aż płuca robiły się bagniste.

To była najdłuższa noc w roku, noc zimowego przesilenia. Przez wiele tygodni dni się kurczyły, najpierw powoli, potem gwałtownie, aż w końcu zaczęło się ściemniać wczesnym popołudniem. Jak wiadomo, gdy wydłużają się księżycowe godziny, ludzie odstępują od regularności swych mechanicznych zegarów. Zapadają w drzemkę w środku dnia, śnią na jawie i leżą z otwartymi oczami w nieprzeniknionych ciemnościach nocy. To czas magii. Kiedy granica między dniem i nocą rozciąga się i zaciera, to samo dzieje się z granicą między światami. Sny i opowieści mieszają się z rzeczywistością, żywi i umarli ocierają się o siebie, przychodząc i odchodząc; przeszłość zbiega się i przenika z teraźniejszością. Zdarzają się niespodziewane rzeczy. Czy zimowe przesilenie miało jakiś związek z dziwnymi zdarzeniami Pod Łabędziem? Sami musicie to ocenić.

Teraz, kiedy już wiecie wszystko, co powinniście wiedzieć, może się rozpocząć opowieść.

*

Tego wieczoru zebrali się Pod Łabędziem sami stali bywalcy, głównie kopacze żwiru, hodowcy oraz barkarze, ale był też Beszant, co naprawiał łodzie, i Owen Albright, który pół wieku temu popłynął rzeką aż do samego morza i wrócił dwadzieścia lat później jako człek zamożny. Cierpiał teraz na artretyzm i tylko jedno lekarstwo

potrafiło uśmierzyć dokuczliwy ból w kościach staruszka – gawędy i mocne piwo. Wszyscy zeszli się tu, gdy tylko z nieba wyciekło światło, i od tamtej pory opróżniali i na nowo napełniali kufle, czyścili i na nowo nabijali fajki cierpkim tytoniem i snuli opowieści.

Albright opowiadał historię bitwy o most Radcot. Po pięciuset latach każda opowieść traci nieco na świeżości, więc dobry gawędziarz szuka sposobów, aby ją ożywić. Niektóre elementy historii tradycja pozostawia nienaruszone – jak armie, ich spotkanie, śmierć rycerza i jego giermka, ośmiuset mężczyzn, którzy utonęli w bagnisku – lecz śmierć chłopca do nich nie należała. Nikt niczego o nim nie wiedział, poza tym, że był chłopcem, że brał udział w wydarzeniach przy moście Radcot i że tam zginął. Z nicości zrodziło się natchnienie. Z każdą opowieścią bywalcy gospody Pod Łabędziem wskrzeszali nieznanego chłopca po to, aby na nowo go uśmiercić. Przez lata chłopiec umierał niezliczoną ilość razy, a każda kolejna śmierć była bardziej zajmująca i niezwykła od poprzedniej. Kiedy historia staje się, by tak rzec, twoją własnością, masz prawo postępować z nią wedle swojej woli, lecz biada przyjezdnemu Pod Łabędziem, który by próbował tego samego. Nikt nie wie, co myślał chłopiec o swych niezliczonych zmartwychwstaniach, ważne jest, że wskrzeszanie umarłego nie należało Pod Łabędziem do rzadkości, o czym warto pamiętać.

Tym razem w swojej opowieści Albright wyczarował młode pacholę z cyrku, które przyjechało dostarczyć rozrywki oddziałom czekającym na rozkazy. Żonglując nożami, chłopiec pośliznął się w błocie i wszystkie śmiercionośne narzędzia spadły ostrzami do dołu i wbiły się w ziemię, z wyjątkiem jednego, które utkwiło nieszczęśliwemu w oku i pozbawiło go życia, zanim bitwa się zaczęła. Ten nowy rozwój wypadków wzbudził podniecone pomruki uznania, szybko jednak stłumione, by opowieść mogła się toczyć dalej, poza tym jedynym wyjątkiem, tak samo jak zawsze.

Gdy skończył, nastąpiła krótka przerwa, nie po to jednak, by natychmiast pochnie rozpocząć następną gawędę, lecz aby pierw-

szą należycie przetrwać.

– Szkoda, że i ja nie mogę opowiedzieć historii – odezwał się Jonathan, który słuchał jej pilnie.

Powiedział to z uśmiechem – wszak Jonathan zawsze się uśmiechał – lecz w jego głosie pobrzmiwał żal. Nie był głupi, tylko że w szkole czuł się taki zagubiony; dzieci śmiały się z jego odmiennej twarzy i nietypowych nawyków, więc rzucił ją po kilku miesiącach. Nie opanował sztuki czytania ani pisania. Stali zimowi bywalcy gospody przywykli do syna Ockwellów i wszystkich jego dziwactw.

– Spróbuj – zaproponował Albright. – Opowiedz nam coś.

Przez chwilę Jonathan się namyślał. Otworzył usta i czekał przejęty tym, co się z nich wydobędzie. Lecz nic się nie wydobyło. Po jakimś czasie twarz mu się skurczyła, ramiona zatrzęśły i chłopiec wybuchł śmiechem.

– Nie umiem! – zawołał, gdy się uspokoił. – Nie umiem opowiadać historii!

– Może następnym razem. Poćwicz trochę, nabierz wprawę, a my cię wysłuchamy, kiedy będziesz gotowy.

– Ty opowiedz historię, tatusiu – poprosił Jonathan.

Tego dnia Joe po raz pierwszy wrócił do izby po jednym z tych okresów, gdy tonął w swoim świecie. Przez cały wieczór siedział błądy i milczący. Nikt nie oczekiwał, że w tym stanie będzie coś opowiadał, lecz na prośbę syna uśmiechnął się łagodnie i spojrzął w górny kąt sali, gdzie sufit poczerniał od dymu z kominka i tytoniu. Jonathan przypuszczał, że to stamtąd pochodzą wszystkie opowieści taty. Kiedy wzrok Joego powrócił na środek sali, był gotów.

– Dawno, dawno...

Otworzyły się drzwi.

Pora była późna jak na nowo przybyłego gościa. Ktokolwiek to był, nie spieszył się z wejściem. Świece zamigotały od poddmuchu zimnego powietrza niosącego do zadymionego wnętrza delikatny zimowy zapach rzeki. Wszyscy podnieśli głowy.

Oczy widziały, lecz przez długą chwilę nikt się nie poruszył. Lu-

dzie próbowali zrozumieć, co widzą.

Mężczyzna – jeśli w istocie był to mężczyzna – wyglądał na rośłego i silnego, ale głowę miał tak przerażającą, że wszyscy aż się wzdrygnęli. Czyżby zjawił się jakiś potwór z ludowych opowieści? Czyżby zasnęli i przyśnił im się koszmar? Przybysz miał nos przekrzywiony i płaski, a pod nim ział poczerniały od krwi, przepastny otwór. Sam w sobie osobnik ów przedstawiał upiorny widok, lecz na dodatek trzymał jeszcze w ramionach wielką lalkę o woskowej twarzy i kończynach, z włosami pomalowanymi na lśniący kolor.

W końcu to sam nowo przybyły wyrwał ludzi z odrętwienia i poderwał do działania. Najpierw z jego gardła wydobył się ryk, odgłos równie nieludzki jak usta, z których dobiegał. Potem zachwiał się i zatoczył. Dwóch parobków podbiegło w samą porę, żeby go chwycić pod ramiona i przytrzymać, aby nie runął na podłogę i nie grzmotnął twarzą o kamienne płyty. W tym samym czasie od kominka skoczył na równe nogi Jonathan, wyciągnął ręce i złapał w objęcia lalkę; jego mięśnie i stawy aż się ugięły, zaskoczone jej ciężarem.

Ochłonawszy z szoku, parobkowie zawlekli nieprzytomnego mężczyznę na stół. Przysunięto też drugi, żeby ułożyć na nim nogi chorego. Kiedy go położyli i wyprostowali, ze wszystkich stron zaczęli podchodzić inni, przybliżali świece i lampy, aby mu się przyrzyć. Powieki mężczyzny nawet nie drgnęły.

– Czy on nie żyje? – zastanawiał się na głos Albright.

Po zgromadzeniu rozszedł się nieokreślony pomruk, ludzie zmarszczyli brwi.

– Trzaśnijcie go po gębie – zaproponował ktoś. – Może to go ocuci.

– Starczy trochę cydru – zasugerował ktoś inny.

W tym momencie przez ciżbę przepchnęła się łokciami Margot. Podeszła do stołu i przyjrzała się przybyszowi.

– Ani mi się ważcie go trzaskać – powiedziała. – Nie widziacie jego twarzy? Do gardła też mu niczego nie wlewać. Zaczekajcie chwilę.

Odwróciła się do ławy stojącej koło pieca, wzięła z niej poduchę i wróciła do stołu. Przybliżyła świecę do nieprzytomnego, zobaczyła białą plamkę na bawełnie i skubnęła ją paznokciem. W palcach trzymała piórko. Mężczyźni obserwowali ją oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Łaskotkami nie obudzisz umarłego – odezwał się kopacz żwi-ru. – Ani żywego w takim stanie jak ten.

– Nie zamierzam go łaskotać – odparła Margot.

Położyła piórko na ustach przybysza. Wszyscy wpatrywali się w nią jak urzeczeni. Przez jakiś czas nic się nie działo, lecz po chwili najdelikatniejszy puszek zaczął drżeć.

– Oddycha!

Wkrótce jednak ulga ustąpiła miejsca nowej konsternacji.

– Ale co to za jeden? – spytał barkarz. – Zna go ktoś?

Wśród zebranych rozszedł się gwar głosów, ludzie zastanawiali się nad odpowiedzią. Ktoś oznajmił, że zna nad rzeką wszystkich od Castle Eaton aż po Duxford, które dzieliło jakieś dziesięć mil, i na pewno tego jegomościa nie zna. Inny miał siostrę w Lechlade i też był pewien, że nikogo takiego tam nie widział. Jeszcze innemu wydawało się, że może gdzieś go spotkał, ale im dłużej mu się przyglądał, tym mniej był skłonny postawić na to pieniądze. Czwarty zastanawiał się, czy to nie jeden z rzecznych Cyganów, bo o tej porze roku ich łodzie spływają w dół rzeki, a ludzie spoglądają na nich podejrzliwie i pilnują się, aby ryglować na noc drzwi i wnosić do domu wszystko, co da się udźwignąć. Lecz zważywszy na płaszcz nieznajomego, uszyty z przedniej wełny, a także kosztowne skórzane buty... nie, to nie mógł być Cygan. Piąty po chwili zadumy triumfalnym tonem zauważył, że mężczyzna jest bardzo wysoki i zbudowany jak Liddiard z farmy Whiteyów. A wszak i włosy ma tego samego koloru. Szósty zwrócił mu jednak uwagę, że Liddiard stoi tu, na drugim końcu stołu, i kiedy piąty spojrział we wskazanym kierunku, nie mógł temu zaprzeczyć. Na koniec tych wszystkich i jeszcze kolejnych dywagacji wspomniana szóstka, a także cała reszta obecnych zgodziła

się, że nikt nie zna tajemniczego przybysza, a przynajmniej tak im się wydaje, bo patrząc na nieprzytomnego mężczyznę, kto mógł być tego pewien?

W ciszy, która zapadła po owej konstatacji, odezwał się siódmy:

– Co mu się właściwie przydarzyło?

Ubranie mężczyzny ociekało wodą i bił od niego zapach rzeki, zielony i zgniłobrazowy. Jakiś wypadek na wodzie, to było oczywiste. Jęli więc dysputować o niebezpieczeństwach czyhających na rzece, o wodzie, która płała figle nawet najbardziej doświadczonym żeglarzom.

– Może wyjdę zobaczyć, czy nad rzeką nie ma jakiejś krypy? – spytał Beszant, co naprawiał łódzie.

Margot delikatnymi, wprawnymi ruchami obmywała twarz nieznanego z krwi i aż się skrzywiła, ujrzawszy pod warstwą czerwonej mazi wielką ranę, która rozdzielała górną wargę na dwa wiszące płatki skóry i odsłaniała połamane zęby oraz zakrwawione dziąsło.

– Daj spokój z łodzią – odparła. – Człowiek ważny. Nie poradzę tu sobie ze wszystkim. Kto pobiegnie po Ritę? – Rozejrzała się i zauważyła parobka, który był zbyt biedny, żeby dużo pić. – Neath, jesteś szybki w nogach i nie zanadto pijany, możesz polecieć po Ritę Sunday i nie potknąć się po drodze? Jeden wypadek na dzień wystarczy.

Młodzieniec wyszedł.

W tym czasie Jonathan trzymał się na uboczu. Ciężka mu niezmiernie nasiąknięta wodą lalka, więc usiadł i posadził ją sobie na kolanach. Przypomniał mu się smok z papier mâché, którego przyniosła ze sobą trupa przebierańców na Boże Narodzenie. Był lekki i twardy i robił puk, puk, puk, kiedy się weń uderzało paznokciami. Ta lalka nie była taka sama. Bardziej mu się kojarzyła z laleczkami wypełnionymi ryżem, miękkimi, a zarazem dość ciężkimi. Ale nigdy nie widział takiej dużej jak ta. Powąchał jej głowę. Nie pachniała ryżem, tylko rzeką. Miała włosy zrobione z prawdziwych ludzkich włosów; Jonathan nie mógł zrozumieć, jak przymocowali je do gło-

wy. Ucho wyglądało całkiem jak prawdziwe, zupełnie jakby ulepili je z ludzkiego ciała. Podziwiał jej misterne rzęsy. Kiedy muskał opuszką palca wilgotne, łaskotliwe końcówki, powieki odrobinę się poruszały. Delikatnie ich dotknął i wyczuł coś pod spodem. Coś kulistego i ruchomego, jednocześnie miękkiego i mocnego.

Ogarnęło go coś mrocznego i niepojętego. Za plecami rodziców i klientów gospody Jonathan delikatnie potrząsnął lalką. Jej ramię ześliznęło się i kołysało zawieszona na stawie barkowym w sposób, w jaki nie powinno się poruszać ramię kukiełki. Poczul coś na podobieństwo wody wzbierającej w naczyniu, nagle i niepowstrzymanie.

– To mała dziewczynka!

Nikt z osób toczących zagorzałą dyskusję nad nieprzypadnym mężczyzną go nie usłyszał, więc zawołał głośniej:

– To prawdziwa dziewczynka!

Wszyscy odwrócili się jak na komendę.

– Nie chce się obudzić.

Wyciągnął w ich stronę mokre małe ciało, żeby sami zobaczyli. Podeszli zaciekawieni i otoczyli go kołem. Kilkanaście par wstrząśniętych oczu spoczęło na małej postaci, którą trzymał w rękach. Jej skóra lśniła jak woda. Bawełniana sukieneczka przyklejała się do smukłych kończyn, główka opadła przechylona na bok, jak nie mogłaby opaść głowa żadnej lalki. Była to z całą pewnością mała dziewczynka i nikt tego wcześniej nie zauważył, nikt, choć było to tak oczywiste. Jaki rzemieślnik zadałby sobie tyle trudu, aby stworzyć tak perfekcyjne dzieło i ubrać je w zgrzebną sukieneczkę, w jakiej mogła chodzić córka pierwszego lepszego chłopca? Kto namalowałby twarz tak makabrycznie martwą? Jaki twórca, poza samym Bogiem, byłby zdolny do zrobienia łuku tych policzków, kształtów tej łydki, tej delikatnej stópki z pięcioma paluszkami wyrzeźbionymi oddzielnie z zachowaniem najdrobniejszych detali i proporcji? Oczywiście, że to była mała dziewczynka! Jak mogli w ogóle pomyśleć inaczej?

W sali, gdzie zwykle słowa płynęły potokami, zaległa cisza. Ojcowie przypominali sobie własne dzieci i postanawiali w duchu, że

do końca życia będą im zawsze okazywać tylko miłość. Starcy, którzy nigdy nie mieli dzieci, poczuli ukłucie żalu, a młodzi, lecz jeszcze bezdzietni, zapragnęli trzymać w ramionach własne potomstwo.

W końcu ktoś przerwał milczenie.

– Dobry Boże!

– Nie żyje, biedna kruszyna.

– Utopiła się!

– Mamuś! Połóż jej piórko na ustach.

– Och, Jonathanie, dla niej już za późno.

– Ale temu panu pomogło!

– Nie, synu, on od początku oddychał. Piórko tylko pokazało nam życie, które w nim było.

– Może w niej też jeszcze jest!

– Nie, synku, widać gołym okiem, że dziewczuszka nie żyje. Nie oddycha, a zresztą starczy spojrzeć na kolor jej skóry. Kto zanieśie tę niebogę do spichrza? Higgs, zabierz ją.

– Ale tam jest zimno! – zaprotestował Jonathan.

Matka poklepała go po ramieniu.

– Jej to już nie będzie przeszkadzać. Już jej tu nie ma, a tam, dokąd poszła, nigdy nie jest zimno.

– Pozwól mi ją zanieść.

– Ty weź lampę i poświęć panu Higgsowi. Ona jest dla ciebie za ciężka, kochanie.

Kopacz żwiru Higgs wziął dziewczynkę ze słabnących rąk Jonathana i podniósł ją, jakby ważyła tyle co gęś. Chłopiec oświetlał mu drogę na dwór, a następnie do małej kamiennej budowli, gdzie za ciężkimi drewnianymi drzwiami mieściła się wąska spiżarnia bez okien, z klepiskiem zamiast podłogi i ścianami, których nigdy nie otynkowano ani nie pomalowano. Latem można tu było przechować oskubaną gęś albo pstrąga, na którego jeszcze nie miało się ochoty, lecz w zimowe wieczory, takie jak ten, panowało tu lodowate zimno. Z jednej ściany sterczała kamienna półka i na niej właśnie Higgs ułożył dziewczynkę. Jonathan, mając w pamięci, jak delikatne są fi-

gurki z papier mâché, objął ostrożnie jej głowę.

– Żeby nie uderzyła o kamień – powiedział.

Lampa Higgsa rzuciła krąg światła na twarz dziewczynki.

– Mamusia powiedziała, że ona nie żyje – powiedział Jonathan.

– Ma rację, chłopcze.

– Mamusia mówi, że ona jest już gdzie indziej.

– Prawda.

– A mnie się widzi, jakby była tutaj.

– Myśli uleciały jej z głowy. Dusza z niej uszła.

– A nie może być, że śpi?

– Nie, synku. Już by się za ten czas obudziła.

Lampa rzuciła migoczące cienie na nieporuszoną twarz dziecka. Ciepły blask próbował zamaskować martwą błądź jej skóry, lecz nie mógł zastąpić wewnętrznego światła życia.

– Kiedyś jedna dziewczynka spała przez sto lat. Obudził ją pocałunek.

Higgs zamrugał szybko.

– To tylko bajka, synku.

Krąg światła opuścił twarz dziewczynki i oświetlił stopy Higgsa, które ruszyły do wyjścia. Przy drzwiach jednak mężczyzna zauważył, że chłopiec nie poszedł razem z nim. Odwrócił się i podniósł lampę w samą porę, żeby zobaczyć, jak Jonathan pochyła się i w ciemności składa pocałunek na czole dziewczynki. Przez chwilę wpatrywał się z namaszczeniem w jej martwe oblicze, potem ramiona mu obwisły i odwrócił się do wyjścia.

Wyszli i zaryglowali za sobą drzwi.

Zwłoki bez historii

Dwie mile od Radcot mieszkał doktor, lecz nikt nie zamierzał po niego posyłać. Był stary i drogi, a większość jego pacjentów leżała na cmentarzu, co nikogo nie zachęcało. Zamiast tego w gospodzie zrobiono jedyną rozsądną rzecz – posłano po Ritę.

Pół godziny po tym, jak mężczyznę ułożono na stole, z dworu dobiegły kroki i po chwili w drzwiach stanęła kobieta. Poza Margot i jej córkami, które stanowiły część gospody Pod Łabędziem w tym samym stopniu co podłoga i kamienne mury, kobiety były tu rzadkim widokiem, więc kiedy weszła Rita, wszystkie oczy zwróciły się prosto na nią. Rita Sunday była niewiastą średniego wzrostu, o włosach ani ciemnych, ani jasnych, lecz pod każdym innym względem jej wygląd odbiegał od przeciętnej. Kości policzkowe miała zbyt wysokie i zbyt kanciaste, nos trochę za duży, szczękę za szeroką, a podbródek zbyt wysunięty. Za najciekawszy szczegół jej twarzy należało uznać oczy – ładnego kształtu, lecz szare i patrzące zbyt spokojnie i nieruchomo spod symetrycznego czoła. Była za stara, aby być młoda; większość niewiast w jej wieku skreślano z lisy dziewcząt wartych otaksowania, lecz mimo pewnej nijakości wyglądu oraz trzech dekad dziewictwa, nadal coś w sobie miała. Czy to za sprawą swojej przeszłości? Urodziła się w klasztorze i mieszkała tam, aż osiągnęła wiek dorosły. W klasztornym szpitalu nauczyła się leczyć chorych i pełniła teraz w okolicy funkcję siostry i akuszerki.

Weszła do zimowej izby Pod Łabędziem, jakby nie zauważyła, że zwróciły się na nią wszystkie oczy. Rozpięła prosty wełniany płaszcz i wysunęła ręce z rękawów. Pod spodem miała prostą sukienkę, pozbawioną wszelkich ozdób.

Podeszła prosto do nieprzytomnego zakrwawionego mężczyzny leżącego na stole.

– Podgrzałam ci wodę, Rito – powiedziała Margot. – Tu masz szmaty, wszystkie czyste. Czego ci jeszcze trzeba?

– Przydałoby się więcej światła, jeśli możesz.

– Jonathanie, przynieś z góry lampę i świece.

– I całkiem możliwe – po umyciu rąk Rita zaczęła delikatnie oglądać rozcięcie na wardze rannego mężczyzny – że będę potrzebować brzytwy oraz mężczyzny z pewną ręką do golenia.

– Joe, możesz to zrobić?

Jej mąż skinął głową.

– I jakiś trunek, najmocniejszy, jaki macie.

Margot otworzyła kredens na specjalne okazje i wyjęła z niego zieloną butelkę. Gdy postawiła ją obok torby Rity, wszyscy obecni jęli łypać pożądliwie na flaszkę pozbawioną etykiетки, za to ze znaczkami nielegalnej destylacji, co znaczy, że mogła zwalić konia z nóg.

Dwaj barkarze, którzy przytrzymywali lampy nad głowę ranne-go, patrzyli, jak Rita obmacuje otwór, który był kiedyś ustami. Dwoma zakrwawionymi palcami wyjęła złamany ząb. Po chwili trzymała w dłoni dwa następne. Potem zanurzyła palce w jego mokrych włosach i cał po cał zaczęła badać czaszkę.

– Na głowie nie ma żadnych innych obrażeń. Mogło być gorzej. Rozbierzmy go teraz z tych mokrych ubrań.

W sali zapanował nagle popłoch. Niezamężna kobieta nie mogła rozebrać mężczyzny bez zakłócania naturalnego porządku rzeczy.

– Margot, możesz pokierować mężczyznami? – poleciła gładko Rita.

Potem się odwróciła i zaczęła wyjmować z torby swoje rzeczy, a tymczasem Margot dyrygowała mężczyznami zdejmującymi ubra-

nie z rannego i upominała ich, żeby obchodzili się z nim ostrożnie.

– Nie wiemy, czy nie ma na ciele innych ran. Uważajcie, żeby nie pogorszyć sytuacji!

Zręcznymi palcami wielokrotnej matki rozpiniała guziki i rozwiązywała sznurówki, kiedy mężczyźni okazywali się zbyt pijani albo po prostu niezdarni. Po chwili na podłodze piętrzyły się ubrania nieznanego przybysza: granatowy kaftan z licznymi kieszeniami, podobny do tych, jakie nosili barkarze, lecz uszyty z lepszej tkaniny; buty z mocnej skóry z nowiutkimi podeszwami; prawdziwy pas zamiast sznurów noszonych przez ubogich przewoźników rzecznych, grube bawełniane kalessony oraz dziergana kamizela pod koszulą z delikatnego wołoku.

– Kto to jest? Znamy go? – spytała Rita, nie odwracając się od torby.

– Nie wygląda na to, żeby ktoś go tu widział, ale jest w takim stanie, że i trudno go poznać.

– Zdjęliście mu kaftan?

– Tak.

– Niech Jonathan przeszuka kieszenie.

Kiedy się odwróciła z powrotem do stołu, jej pacjent leżał nagi, tylko przyrodzenie przykryte białą chustką, aby chronić skromność mężczyzny oraz dobre imię Rity.

Czuła na sobie przelotne spojrzenia ludzi.

– Joe, gdybyś mógł jak najdelikatniej ogolić mu górną wargę. Na pewno nie uda ci się zrobić tego idealnie, ale postaraj się. Uważaj, ma złamany nos.

Następnie przystąpiła do badania. Najpierw położyła dłonie na stopach rannego, potem przesunęła je na kostki nóg, golenie i łydki... Jej białe dłonie kontrastowały z ciemną skórą mężczyzny.

– Widać, że dużo czasu spędza pod gołym niebem – zauważył kopacz żwiru.

Rita tymczasem obmacywała kości, ścięgna, mięśnie, cały czas odwrócona głową w bok od jego nagiego ciała, jakby jej palce wi-

działy lepiej niż oczy. Działała szybko, błyskawicznie oceniała, które partie ciała są całe i zdrowe. Na prawym biodrze dłonie Rity ominęły białą chustkę i zatrzymały się.

– Poświećcie tutaj.

Cały bok mężczyzny był paskudnie poharatany. Rita przechyliła butelkę, wylała trochę alkoholu na szmatkę i przyłożyła do rany. Mężczyźni wokół stołu krzywili się ze współczucia, lecz pacjent nawet nie drgnął.

Dłoń rannego leżała przy biodrze, spuchnięta i dwa razy większa niż normalnie, zakrwawiona i blada. Rita ją przemyła, lecz chociaż przecierała rękę kilkakrotnie, pozostały na niej ślady – plamy czarne jak atrament, ale nie sińce ani zakrzepła krew. Zaintrygowana, uniosła dłoń i zaczęła ją oglądać.

– To fotograf – oznajmiła w końcu.

– A niech mnie! Skąd wiesz?

– Widzicie te ślady na palcach? To azotan srebra. Używa się go do robienia fotografii.

Skorzystała z zaskoczenia wywołanego tą wiadomością i zbadała miejsca na ciele rannego wokół białej chustki. Delikatnie naciskała na brzuch, lecz nie znalazła żadnych wewnętrznych obrażeń, więc poszła dalej, wyżej, a światło podążało tropem jej palców, aż biała chustka znikła powoli w ciemności i mężczyźni mogli odetchnąć z ulgą, że Rita powróciła do krainy obyczajności.

Pozbawiony gęstej brody, mężczyzna sprawiał nie mniej upiorne wrażenie. Złamany nos jeszcze bardziej rzucał się w oczy, obnażone rozcięcie na wardze, biegnące w górę w kierunku policzka, wyglądało dziesięć razy gorzej. Rita wyjęła z rany drzazgi ciemnego drewna, oczyściła ją, po czym wbiła w skórę igłę. W tym samym momencie zamigotała świeca.

– Jak ktoś potrzebuje, to może usiąść – powiedziała. – Wystarczy mi jeden pacjent.

Nikt jednak nie chciał się przyznać do takiej słabości.

Rita założyła trzy zgrabne szwy, a mężczyźni albo odwracali

wzrok, albo zafascynowani patrzyli, jak naprawia się ludzką twarz niczym rozdarty kołnierzyk.

Kiedy skończyła, wszyscy głośno odetchnęli z ulgą. Rita popatrzyła na swoje dzieło.

– Faktycznie wygląda teraz dużo lepiej – przyznał jeden z barkarzy. – Albo tak się zdaje, bośmy przywykli do jego widoku.

– Hm – mruknęła Rita, jakby się częściowo zgadzała.

Sięgnęła do twarzy pacjenta, palcem wskazującym i kciukiem chwyciła go za nos i mocno skręciła. Rozległo się ciche, wilgotne chrupnięcie kości i chrząstek, a po chwili świeca gwałtownie zamigotała.

– Łapcie go, szybko! – zawołała Rita.

Po raz drugi tego wieczoru silne dłonie parobków chwyciły w ramiona upadającego człowieka – tym razem kopacza żwiru, pod którym ugięły się kolana. Trzy lampy, wypuszczone z rąk przez mężczyzn, runęły na podłogę i zgasły, a razem z nimi cała scena znikła w ciemności.

– Ech, co za noc – jęknęła Margot, kiedy ponownie zapalono świece. – Trzeba położyć tego biedaka w izbie pątniczej.

W czasach, gdy na przestrzeni dziesiątków mil most Radcot był jedyną drogą na drugi brzeg rzeki, wielu podróżnych przerywało wędrówkę w gospodzie. Od tamtej pory aż po dziś dzień na końcu korytarza w gospodzie Pod Łabędziem ostał się, choć rzadko obecnie używany, pokój zwany izbą pątniczą. Rita nadzorowała transport swojego pacjenta aż do tego pomieszczenia, gdzie położono go na łóżku i okryto kocem.

– Chciałabym jeszcze przed wyjściem obejrzeć dziewczynkę.

– Chcesz zmówić modlitwę nad biednym małym dzieckiem – domyśliła się Margot. – Oczywiście.

W świadomości miejscowych Rita była nie tylko dobrą medyczką, lecz z powodu długich lat spędzonych w klasztorze w nagłej potrzebie służyła również za osobę duchowną.

– Tu jest klucz. Weź sobie lampę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).